ERIC VAN LUSTBADER

ROBERT

LUDLUM

SANKCJA BOURNE'A

Kolonia Karna o Zaostrzonym Rygorze 13, Niżny Tagił, Rosja; Campione d'Italia, Szwajcaria

Czterej więźniowie czekali na pojawienie się Borii Maksa oparci o brudne kamienie muru; chłód ściany już dawno przestał im dokuczać. Na więziennym spacerniaku palili drogie, czarnorynkowe papierosy z ostrego, ciemnego tureckiego tytoniu i rozmawiali swobodnie, jakby nie mieli do roboty nic lepszego, niż wciągać w płuca gryzący dym i wydmuchiwać go kłębami zamarzającymi w lodowatym powietrzu. Nad ich głowami rozciągało się bezchmurne niebo, pełne błyszczących gwiazd, czyniących z niego bezkresną, niezgłębioną emaliowaną muszlę. Wielki Wóz, Ryś, Psy Gończe, Perseusz... te same konstelacje płonęły na niebie nad Moskwą, niemal tysiąc kilometrów na południowy wschód stąd, a jednak jakże różniło się życie w kolonii karnej od krzykliwych, przegrzanych klubów Tregornego Wału czy Sadowniczeskiej.

W dzień więźniowie produkowali części do imponującego czołgu T-90, a nocą? O czym mogą rozmawiać mężczyźni niemający sumienia, nieznający uczuć? Może to dziwne, lecz... o rodzinie. Ich poprzednie życie definiowały stabilność, powrót do domu, żony, dzieci, obecne zaś — potężne ściany Kolonii o Zaostrzonym Rygorze 13. Wiedzieli tylko, jak zarabiać: za

pomocą kłamstwa, oszustwa, kradzieży, wymuszenia, szantażu, tortur, morderstwa. Byli w tym bez wątpienia dobrzy, w przeciwnym razie byliby martwi. Żyli poza cywilizacją, jaką zna większość ludzi. Powrót do ciepłej, kochającej, znajomej kobiety, domowe zapachy: słodkich buraków, gotowanej kapusty, duszonego mięsa, paląca żywym ogniem pieprzówka... wspomnienie komfortu domowego życia budziło w nich nostalgię. Nostalgia wiązała ich tak pewnie i mocno jak tatuaże, typowe dla uprawianych przez nich mrocznych zawodów.

Mroźne powietrze przeszył cichy gwizd i wspomnienia mężczyzn zgasły; znikły jak olejna farba, gdy polać ją terpentyną. Noc straciła całą swą wyimaginowaną urodę i wraz z pojawieniem się Borii Maksa stała się znowu granatowoczarna.

Maks był wielkim facetem. Co dzień przez godzinę podnosił ciężary, przez półtorej godziny skakał na skakance, i tak od pierwszego dnia pobytu w obozie. Jako zawodowy morderca na etacie Kazachów, oddziału rosyjskiej grupperowki, zajmującej się handlem narkotykami i kradzionymi, przemycanymi samochodami, cieszył się swego rodzaju szacunkiem tysiąca pięciuset więźniów Kolonii 13. Strażnicy bali się go i gardzili nim. Reputacja wyprzedzała go jak cień o zachodzie słońca. Było w nim coś z oka cyklonu, wokół którego wirują wichry gwałtu i śmierci — piątego członka grupy liczącej w tej chwili czterech mężczyzn. Bo, Kazach nie Kazach, Maks musiał zapłacić za to, co zrobił. Doskonale zdawali sobie sprawę z tego, że jeśli Boria pozostanie bezkarny, ich dni w obozie są policzone.

Uśmiechali się. Jeden z nich poczęstował Maksa papierosem, inny pochylił się, podał mu ognia, złożonymi dłońmi chroniąc przed wiatrem płomyk zapałki. Trzeci i czwarty chwycili Borię za stalowe ramiona. Ten pierwszy, przed chwilą trzymający papierosy, teraz miał w ręku własnej roboty nóż, mozolnie wyostrzony w więziennych warsztatach i wymierzony w splot słoneczny przeciwnika. Dosłownie w ostatniej chwili Maks

zdołał go odtrącić doskonale wymierzonym uderzeniem ręki. Niemal w tym samym momencie mężczyzna podający ognia potężnym hakiem trafił go w podbródek.

Maks zatoczył się, uderzył plecami o piersi dwóch więźniów, którzy nadal próbowali unieruchomić mu ramiona. Wykorzystał okazję, z całej siły przydepnął lewą nogą stopę jednego z napastników, a jednocześnie uwolnił lewą rękę, obrócił się i zgiętym łokciem zdzielił mężczyznę po prawej stronie. Odzyskał swobodę ruchów, przypadł do muru, osłonił tyły. Zyskał na bezpieczeństwie, lecz czterech przeciwników zaatakowało bez wahania. Pierwszy szedł ten z nożem, któryś wsunął na palce kastet: kawałek wygiętego metalu.

Rozpoczęła się walka: stęknięcia bólu i wysiłku, rzeki potu, plamy krwi. Maks był mężczyzną równie potężnym jak przebiegłym; jego reputacja okazała się w pełni zasłużona, lecz chociaż odpłacał ciosem za cios, miał przeciw sobie czterech zdeterminowanych przeciwników. Rzucał na kolana jednego, jego miejsce zajmował następny, z dwoma musiał walczyć bez chwili przerwy, dwóch innych przegrupowywało się i próbowało odzyskać siły. Żaden z nich nie miał złudzeń; nie spodziewali się, że pójdzie im łatwo, że Borię da się pokonać w pierwszym, no, może w drugim ataku. Zakładali, że będą się zmieniać i dzięki temu wreszcie go zmęczą. Oni mogli pozwolić sobie na przerwy, on nie.

Mogło się wydawać, że ich taktyka jest skuteczna. Zakrwawieni, posiniaczeni nie ustępowali przecież ani na krok, aż jeden z nich dostał kantem dłoni w krtań; był to ten, który jeszcze przed chwilą trzymał nóż. Zatoczył się w ramiona przyjaciół, rzężąc i walcząc o oddech jak wyrzucona na brzeg ryba; miał zmiażdżoną chrząstkę pierścieniowatą. Maks zdążył wyrwać mu z dłoni nóż, nim facet wywrócił oczy i osunął się martwy na beton. Zaślepieni furią i żądzą krwi pozostali trzej rzucili się na niego jak wściekli.

Gwałtowność tego ataku omal się im nie opłaciła. Niewiele brakowało, a przedarliby się przez obronę Borii... gdyby nie

walczył równie spokojnie jak skutecznie. W ciemności błysnęły potężne mięśnie; odwrócił się do nich lewym bokiem, dzięki temu stanowił mniejszy cel. Ciął nożem szybko, zręcznie, pozostawiając niewielkie, płytkie, lecz obficie krwawiące rany. Była to skuteczna obrona przed taktyką walki na wyczerpanie; zmęczenie to jedno, upływ krwi to coś całkiem innego.

Kolejny napastnik skoczył ku niemu, poślizgnął się we własnej krwi i upadł uderzony w głowę. Sam cios spowodował wyłom w obronie; wykorzystał go więzień z kastetem, zadając potężny cios w bok szyi. Maks stracił równocześnie siły i oddech. Napastnicy wybijali mu na ciele tatuaż ran i sińców, kiedy z ciemności wyłonił się strażnik, dołączył do walki, zmusił napastników do cofania się wprawnymi ciosami pałki, broni niszczycielskiej w stopniu, któremu nie mógł dorównać kawałek zaostrzonego metalu. Pękł czyjś bark, ktoś upadł z wgniecioną czaszką, jeszcze inny więzień próbował ucieczki; zatrzymał go zmiażdżony celnym uderzeniem trzeci krąg lędźwiowy.

— Co ty wyprawiasz? — wydyszał Maks, próbując opanować oddech. — Byłem pewien, że sukinsyny przekupiły wszystkich strażników.

— Przekupiły. Tędy. — Strażnik chwycił go za łokieć, wskazał kierunek lśniącym końcem pałki.

Boria spojrzał na niego, mrużąc oczy.

— To nie jest droga do cel.

— Chcesz się stąd wynieść czy nie?

Więzień skinął głową, jakby odpowiadał twierdząco, choć z wahaniem. Boria i jego wybawca pobiegli przez spacerniak. Strażnik przez cały czas trzymał się blisko muru, więzień robił to samo. Zauważył, że poruszają się w pewnym określonym rytmie, dzięki czemu unikają promieni ruchomych reflektorów. Pewnie nawet zacząłby się zastanawiać, kim właściwie jest ten facet, ale nie miał na to czasu. A poza tym mógł się spodziewać czegoś w tym rodzaju. Wiedział, że jego szef, głowa Kazachów, nie zostawi go, żeby gnił w Kolonii 13, jeśli nie z sympatii,

to dlatego, że był po prostu zbyt cenny. Bo i któż byłby w stanie zastąpić Borię Maksa? Istniał tylko jeden taki człowiek: Leonid Arkadin. Ale Arkadin — kimkolwiek był, nikt ze znajomych Borii nigdy go nie spotkał, nie widział nawet jego twarzy — nie pracowałby dla Kazachów ani dla żadnej innej rodziny; był wolnym strzelcem, ostatnim przedstawicielem ginącego gatunku. Jeśli w ogóle istniał, w co Boria, szczerze mówiąc, wątpił. Dorastał wśród opowieści o wszelkiego rodzaju potworach. Z jakiegoś nieznanego powodu Rosjanie uwielbiają straszyć dzieci, Maks jednak nigdy nie wierzył w te historie i nigdy się ich nie bał. Nie miał powodu, by bać się akurat tego upiora, Leonida Arkadina.

Strażnik otworzył drzwi umieszczone w połowie jednej ze ścian. Zniknęli w nich w ostatniej chwili; gdy tylko drzwi się zamknęły, promień światła padł na mur w miejscu, gdzie stali jeszcze przed sekundą.

Ruszyli skręcającym kilkakrotnie korytarzem i znaleźli się w drugim, prowadzącym do łaźni. Można się było tylko domyślać, w jaki sposób zamierzają ominąć stanowiska wartownicze. Maksowi nie chciało się marnować energii na zgadywanie, co jego przewodnik sądzi i planuje. Na razie doskonale sobie radził, czemu więc teraz miałoby się to zmienić? Wydawało się oczywiste, że strażnik jest zawodowcem. Dokładnie zbadał kolonię, no i z pewnością miał za sobą kogoś rzeczywiście wpływowego. Bez jego pomocy, po pierwsze, by tu nie trafił i, po drugie, nie miałby wszędzie swobodnego dostępu. Wszystko wskazywało na to, że ów człowiek działał na polecenie szefa.

Zbliżali się do łaźni. Boria postanowił przerwać milczenie.

— Kim jesteś? — spytał.

— Nieważne, kim jestem. Ważne, kto mnie przysłał.

Nienaturalna cisza więziennej nocy sprawiała, że Maks dostrzegał i słyszał wszystko. Strażnik posługiwał się nienagannym rosyjskim, ale uważnemu spojrzeniu Borii nie umknął fakt, że jego wybawca nie wygląda ani na Rosjanina, ani na Gruzina, Czeczeńca, Ukraińca czy Azera. Według jego stan-

dardów był niewysoki, zresztą jak wszyscy w porównaniu z Maksem, jednak ciałem posługiwał się w sposób zbliżony do doskonałości. Reagował z szybkością błyskawicy. Emanował nadnaturalnym spokojem w pełni kontrolowanej energii. Poruszał się wyłącznie wtedy, gdy musiał, a i wówczas wkładał w ruch tylko tyle siły, ile wydawało się niezbędne. Pod tym względem byli bardzo podobni, więc Borii łatwo było dostrzec to, czego inni nie umieliby zobaczyć. Oczy miał jasne, był poważny, niemal obojętny, jak chirurg na sali operacyjnej. Jasne, gęste na wierzchu głowy włosy przycięte miał w sposób, który Borii byłby nieznany, gdyby nie jego zamiłowanie do zachodnich magazynów i filmów. Prawdę mówiąc, gdyby nie wiedział, że to niemożliwe, powiedziałby, że strażnik jest Amerykaninem. Ale nie, to przecież nierealne. Szef nie zatrudniał Amerykanów, tylko włączał ich do współpracy.

— A więc wysłał cię Masłow? — Dimitrij Masłow był szefem Kazachów. — Najwyższy, kurwa, czas. Tutaj piętnaście miesięcy to jak pieprzone piętnaście lat!

Znaleźli się w łaźni. Strażnik, nie fatygując się nawet wykonaniem pełnego obrotu, uderzył Borię pałką w skroń. Maks, niebotycznie zdumiony, zatoczył się na nagiej betonowej podłodze, śmierdzącej stęchlizną, środkiem dezynfekującym i mężczyznami nieznającymi pojęcia higieny.

Facet podszedł do niego z taką nonszalancją, jakby był na spacerze z przytuloną do ramienia dziewczyną. Uderzył po raz drugi niedbale, niemal leniwie. Mierzył w lewy biceps; cios był mocny tylko na tyle, by odrzucić Maksa na wilgotną betonową ścianę pod rząd pryszniców. Ale Boria nikomu nie pozwalał się tak traktować, ani strażnikom, ani komukolwiek innemu, i kiedy pałka zaczęła opadać, zrobił krok w przód, zablokował cios ramieniem. Raz przełamawszy linię obrony przeciwnika, mógł się już brać do roboty w sposób najbardziej odpowiadający sytuacji.

W lewej dłoni trzymał nóż zdobyty w bójce ze współwięźniami. Pchnął nim, a kiedy strażnik uczynił taki ruch, jakby

chciał zablokować cios, ciął w górę, tak by ostrze swą długością rozdarło ciało. Mierzył w nadgarstki od spodu, w splot arterii, który raz przecięty czynił dłoń nieużyteczną. Ale strażnik potrafił reagować równie błyskawicznie jak on i nóż przeciął nie ciało, lecz rękaw skórzanej kurtki. Boria miał jeszcze czas, by pomyśleć, że kurtka jest pewnie wyłożona kevlarem lub innym nieprzenikliwym materiałem, i twardy, pokryty odciskami kant dłoni napastnika wytrącił mu nóż. Kolejny cios odrzucił go o kilka kroków. Maks potknął się o dziurę ściekową, pięta mu w niej uwięzła, kopnięcie strażnika trafiło w kolano. Rozległ się trzask i przeraźliwy chrzęst kości ocierającej się o kość.

Prawa noga Borii Maksa ugięła się pod ciężarem jego ciała. Strażnik podszedł do niego powoli.

— To nie Dimitrij Masłow mnie przysłał, tylko Piotr Zilber.

Boria rozpaczliwie próbował uwolnić stopę, której nawet nie czuł.

— Nie wiem, o kim mówisz — stęknął.

Strażnik chwycił go za koszulę na piersiach.

— Zabiłeś mu brata. Aleksieja. Strzałem w tył głowy. Znaleźli go pływającego twarzą w dół w rzece Moskwa.

— To był... biznes. Tylko biznes.

— Dobrze, niech będzie. Ale to... jest sprawa osobista.

Kolano trafiło Borię wprost w jądra, sprawiając, że zwinął się wpół, lecz kiedy strażnik zaczął go podnosić, uderzył czubkiem głowy w jego podbródek. Krew z przeciętego języka spłynęła przez zęby na brodę.

Maks wykorzystał chwilową przewagę i zadał cios pięścią w plecy, tuż nad nerką. Widział, jak rozszerzają się oczy strażnika; była to jedyna oznaka bólu. W zamian otrzymał potężnego kopniaka w strzaskane kolano. Padł i już nie miał siły wstać. Tonął w bólu jak w oceanie, próbował jakoś nad nim zapanować, by stał się znośniejszy, lecz otrzymał kolejnego kopniaka. Wyraźnie czuł pękanie żeber. Głowa opadła mu na cuchnącą betonową podłogę. Leżał półprzytomny, niezdolny wstać.

Strażnik przykucnął obok niego. Grymas na jego twarzy sprawił Borii niemałą przyjemność, ale ten drobiazg miał być jego jedyną pociechą.

— Mam pieniądze — westchnął ledwie dosłyszalnie. — Zakopane w bezpiecznym miejscu. Nikt ich nie znajdzie. Wyciągnij mnie stąd, to cię poprowadzę. Dostaniesz połowę. Przeszło pół miliona amerykańskich dolarów.

Udało mu się tylko zdenerwować człowieka, który go pokonał. Otrzymał cios w ucho, po którym przed oczami zabłysły mu gwiazdy. Jego głowa pulsowała bólem, który dla każdego innego człowieka byłby nie do zniesienia.

— Myślisz, że jestem jak ty? Że nie wiem, co to lojalność? — Strażnik splunął mu w twarz. — Biedny Boria. Zabijając tego chłopca, popełniłeś poważny błąd. Ludzie tacy jak Piotr Zilber nie zapominają. I jeśli czegoś naprawdę chcą, poruszą niebo i ziemię, żeby to osiągnąć. Mają środki.

— W porządku. — Maks mógł już tylko szeptać. — Bierz wszystko. Ponad milion.

— Piotr Zilber skazał cię na śmierć. Tylko tyle mam ci do powiedzenia. No i oczywiście cię zabiję. — Wyraz twarzy strażnika zmienił się nieznacznie, lecz wyraźnie. — Ale najpierw...

Chwycił pokonanego za lewe ramię i unieruchomił je, przydeptując mu nadgarstek. Z kieszeni wyjął solidnie wyglądający sekator do przycinania roślin. Ten widok obudził Borię z wywołanego nieznośnym bólem letargu.

— Co ty wyprawiasz?

Strażnik nie marnował czasu na odpowiedź. Chwycił go za kciuk, na którym od spodu wytatuowana była czaszka, pomniejszona kopia tej, którą Boria nosił na piersi. Symbolizowała ona jego wysoki status w świecie morderców.

— Zilber nie tylko chce, żebyś wiedział, kto kazał cię zabić. Wymaga także dowodu śmierci — oznajmił. Włożył kciuk pomiędzy ostrza sekatora, ścisnął rączkę. Ofiara zabulgotała cicho; ów dźwięk przypominał taki, jaki wydają dzieci. Po

wszystkim kat postąpił jak rzeźnik: owinął odcięty palec w nawoskowany papier, założył gumową opaskę, wrzucił pakunek do plastikowej torby.

— Kim jesteś? — zdołał jeszcze wyszeptać Boria Maks.

— Nazywam się Arkadin. — Strażnik rozpiął koszulę. Na piersi wytatuowane miał dwa świeczniki. — Dla ciebie: Śmierć.

Pełnym gracji ruchem skręcił ofierze kark.

• • •

Słońce rześkiego alpejskiego poranka oświetliło Campione d'Italia, maleńką, lecz wykwintną enklawę wielkości dwóch kilometrów kwadratowych, otoczoną niemal doskonałym krajobrazem Szwajcarii. Dzięki wyjątkowemu położeniu nad wschodnim brzegiem jeziora Lugano ta okolica zdumiewała pięknością, a jednocześnie była idealnym miejscem zamieszkania. Podobnie jak Monako Campione d'Italia stała się rajem podatkowym bogaczy, właścicieli wspaniałych willi spędzających wolny czas w Casino d'Campione. Pieniędzmi i kosztownościami zajmowały się szwajcarskie banki cieszące się zasłużoną sławą dyskretnych i doskonale bronionych przed wścibstwem sił prawa i porządku.

Właśnie to miejsce, nie nazbyt słynne, wręcz idylliczne, Piotr Zilber wybrał na pierwsze osobiste spotkanie z Leonidem Arkadinem. Skontaktował się z nim przez pośrednika; ze względów bezpieczeństwa nie powinien być z nim w żaden sposób powiązany. Od najwcześniejszego dzieciństwa Piotr wiedział, że nie istnieje coś takiego jak nadmierna ostrożność. Odpowiedzialność przytłacza człowieka urodzonego w rodzinie kryjącej tajemnice.

Z wyniesionego wysoko punktu widokowego, położonego blisko Via Totone, Zilber miał wspaniały, wręcz zapierający dech w piersiach widok na czerwonobrązowe dachy chat i bloków mieszkalnych, wysadzane palmami place miasteczka, ciemnoniebieskie wody jeziora i góry o szczytach ustrojonych grzywami chmur. Kiedy tak siedział w swym szarym bmw,

w rozmyślaniach przeszkadzał mu tylko dobiegający od czasu do czasu warkot motorówek pozostawiających po sobie krzywe szable białej piany. A miał o czym myśleć. Zdobył kradziony dokument i wysłał go swą siecią w długą podróż do celu.

Pobyt tu podniecał go w bardzo niezwykły sposób. Oczekiwanie na to, co miało nastąpić, na pochwały — w tym te najważniejsze: od ojca — przeszywało go niczym prąd elektryczny. Jeszcze chwila, a odniesie niewyobrażalne zwycięstwo. Arkadin zadzwonił do niego z moskiewskiego lotniska z informacją, że operacja zakończyła się sukcesem i że ma przy sobie wymagany dowód jej powodzenia.

Polowanie na Maksa niosło ze sobą pewne ryzyko, lecz przecież ten człowiek zamordował Zilberowi brata. Czyżby ktoś spodziewał się, że na wieść o tym Piotr nadstawi drugi policzek? Zapomni o obeldze? Lepiej niż inni rozumiał stanowcze polecenie ojca: pozostawać w cieniu, nie wychylać się, nie opuszczać kryjówki. Uznał jednak, że ten jeden akt zemsty wart jest ryzyka. No a poza tym, wzorem ojca, wszystko załatwił przez pośredników.

Usłyszał niski warkot silnika samochodowego. Odwrócił się. Do punktu widokowego zbliżał się ciemnoniebieski mercedes.

Wielkimi krokami nadchodziła jedyna naprawdę ryzykowna część operacji; Piotr zdawał sobie sprawę z tego, że nie może nic na to poradzić. Jeśli Leonid Arkadin potrafił zinfiltrować Kolonię 13 w Niżnym Tagile i zabić Borię Maksa, był idealnym kandydatem do wykonania następnej zaplanowanej przez niego roboty. Tej, którą wiele lat temu powinien był wykonać ojciec. Teraz syn miał okazję doprowadzić do końca to, czego z obawy o skutki nie załatwił on. Do odważnych świat należy. Zdobyty dokument dowodził, że dziś już nie pora na ostrożność.

Mercedes zatrzymał się przy bmw. Wysiadł z niego mężczyzna o jasnych włosach i jeszcze jaśniejszych oczach, poruszający się z siłą i zręcznością tygrysa. Nie był ani szczególnie wysoki, ani zbudowany tak potężnie jak większość ludzi pracujących dla rosyjskiej grupperowki, niemniej promieniował

doskonale kontrolowanym, groźnym poczuciem siły, co wręcz zaimponowało Piotrowi. Od najmłodszych lat obracał się w towarzystwie niebezpiecznych mężczyzn. Miał jedenaście lat, kiedy zabił zagrażającego matce człowieka... i zrobił to bez zmrużenia oka. Gdyby się zawahał tego dnia, na bazarze w Azerbejdżanie, jego matka zginęłaby z rąk skrytobójcy. Owego człowieka, tak jak wielu innych pojawiających się w następnych latach, wysyłał Siemion Ikupow, zaciekły wróg i nemezis ojca, w tej chwili siedzący bezpiecznie w swej willi na Viale Marco Campione, może kilometr od miejsca, w którym Zilber spotykał się właśnie z Leonidem Arkadinem.

Nie podali sobie ręki, nie zwracali się do siebie po imieniu. Arkadin wyjął z mercedesa stalową walizeczkę, którą przysłał mu Piotr. Zilber wyjął z bmw identyczną. Postawili je obok siebie, otworzyli obie. W jednej znajdował się porządnie zapakowany kciuk, w drugiej trzydzieści tysięcy dolarów w diamentach, jedynej walucie, w której płatny zabójca przyjmował wynagrodzenie.

W tej chwili czekał cierpliwie. Jego zleceniodawca odpakował łup, patrząc na jezioro, jakby marzył o tym, żeby znaleźć się na jednym z motorowych jachtów, tnących przezroczystą toń, oddalających się od brzegu. Kciuk Borii Maksa skurczył się nieco w podróży z Rosji, wydzielał też nieprzyjemny zapach, dość znany Zilberowi; zdarzało mu się już chować członków rodziny i krajanów. Obrócił się tak, by słońce padało na tatuaż, przyjrzał mu się przez szkło powiększające, które ze sobą przywiózł. Na wszelki wypadek.

— To była trudna sprawa? — zapytał po długiej chwili milczenia.

Arkadin odwrócił się, przez chwilę patrzył mu prosto w oczy.

— Nieszczególnie — odparł krótko.

Piotr skinął głową. Wyrzucił kciuk za barierkę punktu widokowego, za nim poleciała walizka. Arkadin, biorąc to za potwierdzenie, że warunki umowy zostały spełnione, zajrzał do woreczka z diamentami. Wyjął jeden z drogocennych ka-

mieni, sięgnął do kieszeni po lupę jubilerską, obejrzał go z prawdziwym znawstwem. Skinął głową zadowolony z czystości i barwy klejnotu.

— Co myślisz o zarobieniu potrójnej stawki? — spytał Piotr.

Arkadin pozostał nieporuszony.

— Jestem bardzo zajętym człowiekiem — powiedział obojętnym głosem. Rozmówca skłonił głowę z szacunkiem.

— Co do tego nie mam najmniejszych wątpliwości.

— Przyjmuję wyłącznie zlecenia, które mnie zainteresują.

— Czy Siemion Ikupow jest wart zainteresowania?

Płatny zabójca stał nieruchomo. Minęły ich dwa sportowe samochody, kierowcom wydawało się chyba, że są na torze Le Mans. Nie umilkło jeszcze echo niskiego ryku ich silników, kiedy powiedział:

— To bardzo wygodne, że znajdujemy się właśnie na terenie maleńkiego księstwa, w którym mieszka Siemion Ikupow.

Piotr się uśmiechnął.

— No właśnie. Doskonale wiem, jak bardzo zajętym jesteś człowiekiem.

— Dwieście tysięcy. Na zwykłych warunkach.

Zilber spodziewał się takiego wyniku negocjacji. Zgodę wyraził skinieniem głowy.

— Tylko w przypadku natychmiastowej dostawy.

— Zgoda.

Bagażnik bmw szczęknął cicho. Znajdowały się w nim dwie walizki. Z pierwszej Piotr wyjął sto tysięcy dolarów; diamenty trafiły do walizeczki Arkadina leżącej na dachu mercedesa. W drugiej były papiery, w tym mapa satelitarna z zaznaczoną posiadłością Ikupowa, lista zatrudnianych przez niego ochroniarzy i zestaw planów architektonicznych, wśród których znalazł się schemat połączeń elektrycznych ze szczególnym uwzględnieniem zasilania awaryjnego i dokładnym rozmieszczeniem czujników.

— Ikupow jest na miejscu — powiedział jeszcze Zilber. — Sposób, w jaki dostaniesz się do środka, to już, oczywiście, nie moja sprawa.

— Będę w kontakcie.

Arkadin uważnie przejrzał dokumenty, zadał kilka pytań, po czym położył papiery na wierzchu walizeczki, na diamentach. Zamknął ją, przeniósł i rzucił na siedzenie pasażera, jakby nic nie ważyła, jakby wypełniały ją balony.

— Jutro, tutaj, o tej samej porze — pożegnał go Piotr.

Silnik mercedesa szumiał cicho. Arkadin włączył bieg, wyjechał na drogę. Zadowolony Piotr Zilber ruszył w stronę swojego bmw. Zgrzyt hamulców i pisk opon po asfalcie całkowicie go zaskoczyły. Kiedy się odwrócił, zobaczył mercedesa jadącego wprost na niego. Znieruchomiał zdumiony. Co, do diabła, wyprawia ten człowiek? Zaczął biec, ale było już za późno. Przedni zderzak mercedesa uderzył go, przycisnął do boku bmw. Oszołomiony, tracący przytomność ze strasznego bólu, zdołał jeszcze dostrzec, jak Arkadin wysiada z samochodu, zbliża się do niego powoli.

Poczuł, jak coś w jego ciele pęka, po chwili ogarnęła go zupełna ciemność.

• • •

Przytomność odzyskał w wyłożonym drewnem gabinecie, pełnym błyszczącego mosiężnego wyposażenia; na podłogach leżały isfahańskie kobierce barwy najróżniejszych klejnotów. Z pozycji, w jakiej się znajdował, mógł widzieć jeszcze biurko z orzecha wraz z fotelem i ogromne okno, za oknem zaś jezioro Lugano, a dalej góry pokryte zasłoną delikatnej mgły. Słońce wisiało nisko na zachodzie, rzucając na płaszczyznę wody cienie koloru sińców sięgające białych ścian Campione d'Italia.

Przywiązano go do prostego drewnianego krzesła niepasującego do tego luksusowego wnętrza niemal tak jak on. Spróbował odetchnąć głęboko i aż westchnął z bólu. Spojrzał w dół; pierś miał ciasno owiniętą bandażem. Zrozumiał, że co najmniej jedno żebro ma złamane.

— Wreszcie wróciłeś z krainy zmarłych — powiedział ktoś. — A już się martwiłem, że ci się to nie uda.

Piotr cierpiał, nawet odwracając głowę. Wydawało mu się, że każdy mięsień jego ciała płonie. Ale ciekawości nie sposób mu było odmówić; przygryzł wargi i powoli wykręcał szyję, aż wreszcie przed jego oczami pojawiła się sylwetka mężczyzny, niewysokiego i przygarbionego. Okulary zasłaniały jego wielkie, wodniste oczy. Na brązowej czaszce, pomarszczonej i pobrużdżonej jak pastwisko, nie było ani jednego włosa; jakby nadrabiając swe niedopatrzenie, natura wyposażyła go za to w wyjątkowo obfite brwi otaczające oczy wysokim łukiem. Wyglądał jak karykatura chytrego lewantyńskiego handlarza.

— Siemion Ikupow — powiedział Piotr. Rozkaszlał się. Wargi miał sztywne, jakby ktoś wypełnił mu usta watą. Czuł słonomiedziany smak krwi. Przełknął z trudem.

Ikupow mógł przesunąć się tak, by Piotr nie musiał wykręcać głowy, ale pozostał na swoim miejscu. Rozwinął gruby arkusz papieru i przyjrzał mu się ciekawie.

— Wiesz, te plany są tak dokładne, że o własnym domu dowiaduję się z nich rzeczy, o których nie miałem pojęcia. Na przykład pod piwnicami jest jeszcze jeden poziom. — Przesunął po planach krótkim, grubym paluchem. — Podejrzewam, że trzeba by wiele pracy, żeby się do nich dostać, ale kto wie, może i warto? — Nagle podniósł głowę, przeszył Zilbera spojrzeniem. — Na przykład można byłoby uwięzić cię właśnie tam. Wydaje się niemal pewne, że nawet mój najbliższy sąsiad nie usłyszałby, jak krzyczysz. — Uśmiechnął się, zdradzając, na czym skupia się cała jego energia. — A będziesz krzyczał, Piotrze. To ci mogę obiecać. — Poruszył głową, najwyraźniej szukał kogoś wzrokiem. — Nie mylę się, prawda, Leonidzie?

Przed oczami Zilbera pojawił się Leonid Arkadin. Jedną ręką chwycił go za głowę, palce drugiej wbił w mięśnie szczęki. Zmusił go do otwarcia ust, długo przyglądał się zębom. Zilber wiedział, że szuka tego fałszywego, z kapsułką śmiertelnej trucizny. Cyjanku potasu.

— Wszystkie jego — oznajmił w końcu morderca.

— Bardzo ciekawe — powiedział z zastanowieniem Ikupow. — Jakim cudem udało ci się zdobyć te plany?

Jeniec w milczeniu czekał, aż topór spadnie na jego szyję, tylko nagle zaczął drżeć na całym ciele tak gwałtownie, że aż dzwonił zębami. Ikupow skinął na Arkadina, który otulił ciało więźnia grubym kocem. Sam przystawił sobie krzesło z drzewa wiśni i usiadł naprzeciw Zilbera. Mówił tak, jakby nie spodziewał się odpowiedzi.

— Muszę przyznać, że wykazałeś się niezwykłą inicjatywą. Bystry chłopak wyrósł na bystrego mężczyznę. — Wzruszył ramionami. — Wcale mnie to nie zaskakuje. A teraz posłuchaj: wiem, kim naprawdę jesteś. Myślałeś, że mnie oszukasz tymi ciągłymi zmianami nazwiska? Prawda wygląda następująco: wsadziłeś łapę w gniazdo os, nie powinieneś więc się dziwić, że cię użądlą. I to nie raz. Nie jeden raz. — Pochylił się na krześle. — Niezależnie od tego, jak bardzo gardzimy sobą nawzajem, twój ojciec i ja, dorastaliśmy razem i kiedyś byliśmy sobie bliscy jak bracia. A więc, z szacunku dla niego, nie będę cię okłamywał. Ten twój śmiały wypad na nasze terytorium nie skończy się dobrze. Szczerze mówiąc, od początku skazany był na klęskę. A wiesz dlaczego? Nie musisz odpowiadać, oczywiście, że wiesz. Zdradziły cię twe przyziemne potrzeby, Piotrze. Ta cudowna dziewczyna, z którą sypiasz od pół roku, należy do mnie. Wiem, wiem, jesteś pewien, że to niemożliwe. Sprawdziłeś ją, to twój *modus operandi*. Przewidziałem, o co będziesz pytał, i dopilnowałem, żebyś usłyszał odpowiedzi, które chciałeś usłyszeć.

Zilber, zapatrzony w jego twarz, znów zadzwonił zębami. Nie mógł przestać, choć z całej siły zaciskał szczęki.

— Philippe, proszę o herbatę.

Chwilę później pojawił się młody, smukły chłopak. Postawił srebrny angielski serwis na stoliczku po prawej stronie gospodarza. Niczym kochający wujek, z uczuciem, Ikupow napełnił porcelanową filiżankę i dosypał do niej cukru. Potem przyłożył ją do sinych warg jeńca.

— Pij, proszę. To dla twojego dobra. — Piotr patrzył mu w oczy. Ikupow niemal natychmiast zorientował się, o co chodzi. — Ach tak, oczywiście — powiedział i wypił łyk, pokazując, że to naprawdę herbata, nic więcej. Tym razem Piotr zaczął pić, początkowo z trudem, potem wręcz łapczywie. Kiedy skończył, Ikupow odstawił filiżankę na spodek.

Zilber jakoś opanował strach.

— Lepiej się czujesz?

— Poczuję się lepiej, kiedy się stąd wydostanę.

— No cóż, obawiam się, że to może nie nastąpić zbyt szybko. Jeśli w ogóle. Chyba że odpowiesz mi na kilka pytań.

Ikupow przysunął krzesło bliżej więźnia. Wyraz twarzy dobrego wujka gdzieś znikł, jakby go w ogóle nie było.

— Ukradłeś coś, co należy do mnie — warknął. — Chcę to odzyskać.

— Nigdy nie należało do ciebie. Ty też to ukradłeś.

W głosie Zilbera było tyle jadu, że Ikupow zareagował.

— Nienawidzisz mnie tak bardzo, jak kochasz ojca, Piotrze. To twój podstawowy problem. Jakoś nie nauczyłeś się, że nienawiść i miłość są w zasadzie tym samym uczuciem. Tymi, którzy kochają, można manipulować z taką samą łatwością jak tymi, którzy nienawidzą.

Piotr zacisnął usta, jakby słowa wroga pozostawiły w nich gorzki smak.

— W każdym razie się spóźniłeś. Dokument jest w drodze.

Ikupow zmienił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Twarz mu znieruchomiała, nie zdradzała niczego. Jego drobne ciało napięło się, było jak śmiercionośna broń gotowa zabijać.

— Dokąd go posłałeś?

Więzień wzruszył ramionami. Twarz pytającego poczerwieniała od gwałtownej furii.

— Myślisz, że nic nie wiem o kanale informacyjnym, który doskonalisz od trzech lat? Którym wysyłasz informacje i materiały do ojca, gdziekolwiek jest?

Po raz pierwszy od momentu odzyskania przytomności Piotr Zilber się uśmiechnął.

— Gdybyś wiedział coś o tym kanale, już byś go zamknął.

Ikupow odzyskał żelazną samokontrolę.

— Mówiłem, że nie warto z nim rozmawiać — rozległ się głos stojącego gdzieś z tyłu Arkadina.

— Mimo wszystko... są przecież pewne zwyczaje, należy ich przestrzegać. Nie jestem zwierzęciem.

Zilber tylko prychnął. Gospodarz przyjrzał mu się uważnie, a potem usiadł wygodniej, elegancko podciągnął nogawkę, założył nogę na nogę, splótł grube paluchy na brzuchu.

— Daję ci jedną, ostatnią szansę na kontynuowanie rozmowy.

Cisza przeciągała się nieznośnie, Ikupow musiał ją przerwać.

— Piotrze, dlaczego mi to robisz? — westchnął i spojrzał na Arkadina. — Zaczynaj.

Mimo że kosztowało go to wiele bólu i trudności z oddychaniem, Piotr Zilber odwrócił głowę najdalej, jak mógł, nie zdołał jednak dostrzec, co robi Arkadin. Słyszał tylko charakterystyczny brzęk; ktoś przesuwał po dywanie metalowy wózek z narzędziami.

— Nie przestraszysz mnie — powiedział.

— Nie zamierzam cię straszyć — odparł spokojnie Ikupow. — Zamierzam zadać ci ból. Bardzo wielki ból.

• • •

W konwulsjach cierpienia świat Zilbera skurczył się do rozmiaru maleńkiej gwiazdki, punkciku na nocnym niebie. Tkwił w zamkniętej klatce swego umysłu, jednak mimo treningu, mimo niekwestionowanej odwagi, nie umiał zdefiniować i opanować bólu. Na głowie miał worek ciasno zasznurowany przy szyi. To ograniczenie stukrotnie wzmacniało ból, Piotr bowiem, choć nieustraszony, cierpiał na klaustrofobię. Dla kogoś, kto nie wchodził do jaskiń, niewielkich pomieszczeń, nawet nie nurkował, kaptur zakreślał granicę najgorszego z wyobrażonych światów. Zmysły mówiły mu wprawdzie, że

nie jest zamknięty, ale mózg nie chciał zaakceptować ich świadectwa — był sparaliżowany paniką. Ból, którego Zilber doświadczał za sprawą Arkadina, był jednym, jego chorobliwe natężenie czymś zupełnie innym. Piotr czuł, jak w jednej chwili dziczeje; złapany w pułapkę wilk, gotów odgryźć sobie łapę. Umysł nie jest jednak łapą i odgryźć go nie można.

Ledwie słyszał powtarzane raz za razem pytanie, na które znał odpowiedź. Nie chciał jej udzielić, lecz wiedział, że w końcu to zrobi, ponieważ głos obiecywał, że po tym od razu zdejmą mu kaptur. Niemal oszalały wiedział już tylko, że jest to konieczne. Nie odróżniał już dobra od zła, tego co słuszne, od tego co niesłuszne, kłamstwa od prawdy. Miał przed sobą tylko jeden cel: przetrwać. Próbował choćby poruszyć palcami, ale pochylony nad nim przesłuchujący unieruchomił go, opierając się o jego dłonie nasadą swoich.

Piotr nie był w stanie wytrzymać tego dłużej. Odpowiedział na pytanie.

Kaptur pozostał tam, gdzie był, na jego głowie. Zilber zawył z wściekłości i przerażenia. „Oczywiście, że go nie zdjęli", powtarzał cichy, daleki głos jakiejś jego drobnej cząstki, która pozostała normalna. Bo gdyby zdjęli, nie mieliby jak skłonić go, żeby odpowiedział na kolejne pytanie. I następne.

A odpowie. Wiedział, że odpowie. Na wszystkie. Zdawał sobie z tego sprawę z mrożącą krew w żyłach pewnością. Chociaż jakąś częścią umysłu pojmował, że kaptur zostanie tam, gdzie jest, na zawsze, miał zamiar zrobić wszystko, by tak się nie stało. Inna możliwość po prostu nie istniała.

Ale teraz, kiedy mógł poruszyć palcami, pojawiła się szansa.

Zdążył, nim znów wpadł w wir szaleństwa. Podjął decyzję. Przed sobą miał już tylko jedną drogę i, wymawiając cichą modlitwę do Allacha, zrobił na niej pierwszy krok.

• • •

Ikupow i Arkadin stali nad ciałem Piotra Zilbera, leżącym na podłodze z przekrzywioną głową, i patrzyli na zsiniałe wargi

wraz z cienką, lecz doskonale widoczną warstewkę pokrywającej je piany. Ikupow pochylił się, wciągnął w płuca zapach gorzkich migdałów.

— Chciałem mieć go żywego, Leonidzie — powiedział zirytowany. — Miałem wrażenie, że wyraziłem się wystarczająco jasno. Jakim cudem udało mu się dobrać do cyjanku?

— Użyli wariantu, którego do tej pory nie widziałem. — Arkadin też nie sprawiał wrażenia zadowolonego z siebie. — Fałszywego paznokcia.

— Powiedziałby nam wszystko.

— Oczywiście. Już zaczął.

— A potem wziął na siebie obowiązek zamknięcia sobie ust. — Ikupow potrząsnął głową z niesmakiem. — To, co się dziś stało, może się okazać groźne w skutkach. Miał bardzo niebezpiecznych przyjaciół.

— Znajdę ich. I zabiję — obiecał Arkadin.

Ikupow potrząsnął głową.

— Nawet ty nie zdołasz pozabijać tylu na czas.

— Mogę skontaktować się z Miszą.

— I zaryzykować utratę wszystkiego? Nie. Rozumiem, co cię z nim łączy: najbliższy przyjaciel, mentor. Rozumiem, że czujesz potrzebę porozmawiania z nim. Spotkania. Ale to będzie możliwe dopiero wtedy, kiedy skończymy sprawę i Misza wróci do domu. To moje ostatnie słowo.

— Rozumiem.

Ikupow podszedł do okna. Stał z rękami założonymi na plecach, kontemplując zapadającą ciemność. Wzdłuż brzegu jeziora i na wzgórzu Campione d'Italia błyszczały światła. Przez długą chwilę milczał, przyglądając się odmienionemu krajobrazowi.

— Będziemy musieli przyspieszyć bieg wydarzeń, to wszystko — powiedział w końcu. — A ty zaczniesz od Sewastopola. Użyj jedynego nazwiska, które znamy; tego, które podał Piotr, nim popełnił samobójstwo. — Odwrócił się, spojrzał prosto w oczy Arkadina. — Teraz wszystko zależy od ciebie, Leoni-

dzie. Ten atak jest w fazie planowania od trzech lat. Opracowano go, by podważyć podstawy amerykańskiej ekonomii. Jeszcze tylko dwa tygodnie i stanie się rzeczywistością. — Bezgłośnie przeszedł po kobiercu. — Philippe da ci pieniądze, dokumenty, broń, której nie sposób wykryć środkami elektronicznymi... wszystko, czego możesz potrzebować. Znajdź tego człowieka z Sewastopola. Odzyskaj dokument, a kiedy już go zdobędziesz, prześledź kanał informacyjny aż do jego początku i zamknij go, żeby już nigdy nie został wykorzystany przeciwko naszym planom.